

26/72

# Panny czy miłość?

**W** sylwestrowy wieczór 1955, w nie istniejącym dziś Teatrze Satyry w Poznaniu, odbyła się prapremiera komedii „pozornie cynicznej” Artura Marii Swinarskiego „Achilles i panny”. Rzecz napisana tuż po wojnie doczekała się scenicznej realizacji dopiero w dziesięć lat później. Obawiano się widocznie pikantarii, która — choć przesłonięta woalką poezji — była zapewne zbyt śmiała na owe purytańskie czasy.

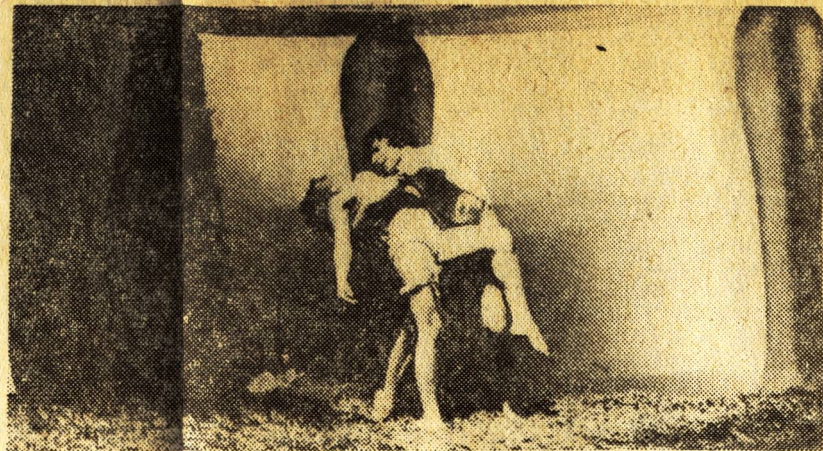
Powodzenie przeszło wszelkie oczekiwania: ponad dwieście przedstawień przy bitych kompletach, sześćdziesiąt tysięcy widzów! Był to jeden z większych sukcesów frekwencyjnych na poznańskich scenach po wojnie. Także realizatorzy spektaklu, a zwłaszcza reżyser Jan Perz, mieli powody do satysfakcji. Rzadko kiedy zaistniała taka zgodność pomiędzy gustem publiczności i krytyki; podkreślano niemal jednogłośnie znakomity dowcip, kabaretową nawiązkę oraz dużą kulturę wykonawstwa.

W jakiś czas później zdecydowała się na wystawienie komedii Swinarskiego ówczesnie reprezentacyjna

scena stolicy — Teatr Polski. Ale tu próbowano — całkiem niepotrzebnie — wywindować tekst znakomitego satyryka na wysokie piętra celebry. Zabrakło zarówno lekkości i dowcipu, jak charakterystycznej dla pisarstwa Swinarskiego satyrycznej przewrotności. Pięć córek Safony i ukrywający się wśród nich Achilles stali się zespołem melodramatycznych kochanków z całkiem innej teatralnej parafii. A przecież przyszły bohater spod Troi, spędzający czas na igraszkach miłosnych wśród bujnego krzewostanu dworskich ogrodów Likomedesa, nie miał żadnych zadatków na ławego kochanka; poczynił sobie nader dziarsko, czego dowodem pięć zgrabnych panienek w ciąży.

Sam Swinarski, jak się zdaje, najlepiej określił utwór. W książkowym wydaniu „Achillesa i panien” pomieścił motto: „Wiem, że nie jestem Bachem, ale wiem również, że nie jestem Offenbachem” (Rossini).

Po wielu latach „Achilles i panny” raz jeszcze ożyli na poznańskiej scenie, tym razem w Teatrze Nowym. Ale, niestety, już nie w oryginalnej wersji. Autor poddany zo-



„Achilles i miłość” w Teatrze Nowym w Poznaniu.

stał zabiegiem adaptacyjnym, których rezultatem stał się musical Marka Sarta „Achilles i miłość”. Libretto wyszło spod piór autorskiej spółki: znanego z dobrego smaku i wysokich wymagań literackich wybitnego krytyka Michała Sprusińskiego i słusznie cieszącego się najlepszą stawą satyryka Jonasza Kołty. Do zespołu renowowanych autorów dokooptowano nie mniej uznanych w swoich branżach reżysera i scenografa: Janusza Rzeszewskiego i Lecha Zahorskiego.

Tak więc wychodząc naprzeciw ogromnemu zapotrzebowaniu na ten gatunek rozrywkii uczyniono, jak

mogło się wydawać, wszystko, aby widowisko rozpoczęło triumfalny żywot na krajowych, a może i zagranicznych scenach. Tymczasem okazało się już przy pierwszej teatralnej realizacji, że musical jest fatalną parodią Swinarskiego. Ze niemal wszystko, co w tamtym „Achillesie” było udaną kabaretową zabawą, nigdy — bez względu na inscenizację — nie przekraczającą granicy dobrego smaku, tu zrealizowało się w formie niemalże grubiańskich dowcipasów i kalamburów („każda amfora znajdzie swego amatora”). Nawet najbardziej żądny zabawy widz musi sobie już po pierwszych

scenach zdać sprawę, że utalentowani aktorzy Teatru Nowego, gdyby tylko mogli, zagrałiby tę rzecz najchętniej tyłem do widowni.

Na domiar złego Janusz Rzeszewski, znany z licznych rozrywkowych widowisk telewizyjnych, jakby się uważał, żeby wypuklić wszystko, co w tekście najgorsze. I jeszcze chaos, kotłowanie, które niemal wszechwładnie panują na scenie.

Także jedyny atut spektaklu, dobra muzyka, został zaprzeczony. Rzadko wykorzystywano mikrofon, forsując nagrania z taśmy, co przy nie najlepszej formie wokalne niektórych wykonawców dopełniało złego.

Nie można także oszczędzić kilku gorzkich słów Lechowi Zahorskiemu. To, że wszystko kojarzyło mu się z męskimi i żeńskimi narządami rodnymi, nie byłoby zapewne niczym zdrożnym, gdyby te skojarzenia były dowcipne. Niestety.

Myszę, że jedna chałtura mniej, lub jedna więcej, polskiej sceny do końca nie pognebi. Ale w tym przypadku nasuwa się najprostsze pytanie: czy nie można było po prostu zagrać „Achillesa” w wersji oryginalnej? Ewentualnie, chłopskim targiem, zgódźmy się, mając na względzie obowiązujące na rozrywkowej niwie obyczaje adaptacyjno-zaiksose, na dorobienie do tekstu Swinarskiego songów i muzyki. Ale po co było iść na całość?